Nr. 134.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 14 Maja 1899.

Panslawizm i pangermanizm.

Nowoje Wremia zamieszcza artykuł, obliczony widocznie na odciągnięcie Austryi od trójprzymierza, który brzmi:

„Panslawizm i pangermanizm to rodzeni bracia. Oba wyrosły na gruncie rozbudzonego poczucia plemiennego, jednego z najwybitniejszych objawów upływającego stulecia. Prawda odwieczna, iż na to, żeby być człowiekiem, trzeba być obywatelem ojczyzny, uzupełnioną została nowem wymaganiem, że trzeba być jeszcze i synem swego plemienia. Dla prawdziwego i swobodnego doskonalenia siebie potrzebny jest ojczysty grunt pod nogami, a jeżeli słusznem jest, że miłość ojczyzny jest pierwszym krokiem ku miłowaniu ludzkości, to niemniej słusznem jest, że miłość dla plemienia własnego nietylko w granicach, lecz i poza granicami ojczyzny jest drugim krokiem, zbliżającym nas do ideału moralnego, który polega na tem, że bliźniego uczymy się miłować przez miłowanie najbliższego.

„Dlaczego więc obaj ci bracia, pangermanizm i panslawizm, pałają do siebie taką wzajemną nienawiścią, zamiast iść ręka w rękę ku wielkiemu celowi, gdy każdy wnosi daninę swej duchowej twórczej siły do wspólnej skarbnicy kultury światowej. Naturalnie przedewszystkiem dlatego, że los stale pieści jednego brata, a dla drugiego jest ojczymem.

„Pangermanizm, chociaż przyszedł na świat w ciężkich czasach panowania francuskiego, był istotnie zawsze dzieckiem szczęścia. Od początku zaliczany do rzędu najszlachetniejszych ideałów, rósł błyskawicznie, a gdy z pomocą krwi i żelaza cel swój osiągnął, przestał ostatecznie być narodowym wyłącznie ruchem, lecz przetworzył się na pochłaniającego wszystko Molocha, który żywił się zdrowymi sokami zniemczonej Słowiańszczyzny, albo według obrazowego wyrażenia pewnego pangermanisty „użyźniał swój grunt mierzwą słowiańską".

„Panslawizm od urodzenia swego traktowany był z pogardą, jak nieślubne dziecko. Pomimo przesadzonej jego skromności wiecznie krzywo na niego patrzano — i co jest śmieszne — łączono go z nihilizmem! Niektórzy przyjaciele Słowiańszczyzny wzdrygają się jeszcze teraz wymówić jego nazwę, nie wątpimy też, że nasze porównanie panslawizmu z wzniosłym pangermanizmem wywoła największe oburzenie w obozie pangermańskim. Przy bracie swym, pangermanizmie, jest panslawizm tylko Ablem obok Kaina. Nasz panslawizm pragnie tylko zjednoczyć duchowo Słowian do wspólnej pracy cywilizacyjnej. Równość i równouprawnienie szczepu słowiańskiego z innemi plemionami, stanowi jedyne jego życzenie, stawiane Niemcom i jedynie okoliczności wkładają na niego obowiązek moralnego oporu przeciwko interesownym planom niemieckiej, pochłaniającej wszystko zaborczości.

„Pangermanizm, przeciwnie, dąży do zabrania tego wszystkiego, co jest źle strzeżone, do zbudowania hegemonii absolutnej Niemców „stworzonych do rozkazywania" nad rasą romańską i „niższą" rasą słowiańską Zjednoczone Niemcy, wielkie Niemcy, Pangermania – oto idące szybko po sobie cele polityki niemieckiej w ciągu ostatnich lat 30.

„Gdy Niemcy obchodzili uroczyście jubileusz dwudziesty piąty państwa niemieckiego, mówili o tem, że obecnie pierwszem ich zadaniem jest stopienie z Niemcami większego państwa niemieckiego, że Niemcy, w obszernem tego słowa znaczeniu, znajdują się wszędzie, gdzie się tylko Niemiec osiedlił i gdzie pracuje, a śmiała ta idea stała się w w społeczeństwie niemieckiem ideą przewodnią.

„W Niemczech wszystko, co jest młode i silne, płynie z prądem germanizmu. Szczególną wszakże usilnością, popierana wszelkimi sposobami od strony Niemiec, odznacza się praca nad zorganizowaniem ruchu pangermańskiego w Austryi; chwila obecna, w której walka ludności słowiańskiej o równouprawnienie i walka Niemców o utrzymanie „historycznej" władzy, zaogniły się do najwyższego stopnia, chwila ta jest niewątpliwie bardzo ważna i stanowić będzie próbę ogniową dla pangermanizmu, który w razie powodzenia, nie będzie miał żadnych granic dla swego przedsiębiorczego ducha.

„Już Bismark marzył o „katolickiem" małżeństwie między Niemcami a Austryą, to jest o takim legalnym związku, który byłby równoznaczny z całkowitem poddaniem Austryi pod władzę Niemiec. Austrya jest już zmuszona bronić się u siebie energicznie przeciwko wojowniczemu pangermanizmowi, zamykając różne, zbyt gorliwe kółka i stowarzyszenia, w danej chwili jednak, gdy pangermanizm zapomniał o testamencie Bismarka i gdy wchodzi już na półwysep Bałkański i do Azyi Mniejszej, musimy sobie bardziej niż kiedykolwiek uprzytomnić, że Austrya, oczywiście nie pangermańska, lecz słowiańska, ze Słowianami równouprawnionymi, a zaprzyjaźnionymi z nami, jest potrzebną nam i Słowiańszczyźnie i że gdyby nie istniała, to idąc za Palackim, winnibyśmy głosić, że trzeba ją stworzyć.

„A nietylko równowaga polityczna, lecz i wiele innych przyczyn poważnych sprawia, że istnienie Austryi jest dla nas koniecznością. Austrya słowiańska, to jedyny możliwy dla Słowiańszczyzny kompromis religijny. Nam wystarcza zaprawdę tych kilka milionów katolików, jakich mamy w Polakach i możemy pragnąć tylko jednego, żeby współwyznawcy nasi otrzymali faktycznie w Austryi tę swobodę wyznaniową, jaką im prawo zapewnia. Przypuszczamy, że rząd austryacki, wobec licznych przejść katolików na protestantyzm, miał możność przekonać się, co w gruncie rzeczy groźniejsze jest dla katolicyzmu, agitacya pangermańska, czy prawosławie. Nie wątpimy, że warunki, w jakich znajdują się prawosławni austryaccy, polepszą się, gdy Austrya również szczerze, jakbyśmy tego pragnęli, wierzyć będzie w naszą lojalność i w to, że pragniemy najszczerszych i najbardziej przyjacielskich z nią stosunków. W gruncie rzeczy Słowianie od dawna już i wszelkimi sposobami propagują w Austryi tę kombinacyę polityczną.

„Jakiem niebezpieczeństwem grozi wolnej Austryi dalsze zbliżenie się do Niemiec, tego dowiodła chyba dostatecznie polityka lat ostatnich i szereg senzacyjnych odkryć. Nie mówimy już o tem, jak dalece licuje z godnością Austryi, jako mocarstwa, kategoryczny ton pangermanizmu. W miarę polepszania się stosunków rosyjsko-austryackich stawać się on będzie coraz zuchwalszym i nakazującym. Czas już, żeby i na pangermanizm spojrzano w sposób trzeźwy. Czas rozważyć, który z nich jest środkiem przewrotowym. Wierzymy mocno, że spokojna i należyta ocena okoliczności dzisiejszych ujawni obustronny pożytek zbliżenia się pomiędzy Rosyą a Austryą — zbliżenia, opartego na zasadach szczerości i wzajemnego poszanowania naturalnego prawa narodów."

Posiedzenie rady miejskiej.

Lwów 13 maja.

(Gazownia — teatr).

Na wczorajszem posiedzeniu lwowskiej rady miejskiej zdał najpierw sprawę p. Pawlewski ze stanu gazowni miejskiej, która od 1 września b. r. jest w administracyi miejskiej. Otóż w ciągu czterech miesięcy roku minionego gazownia rozwijała się pomyślnie. Około 1000 płomieni gazowych przybyło miastu, a prócz tego zwiększyła się konsumcya gazu do celów innych niż światło. Do produkcyi gazu używa się mięszaniny węgla zagranicznego z małą domieszką węgla krajowego, co daje bardzo korzystne wyniki fabrykacyi. Zysk czysty wyniósł 52.000 zł. Na podstawie tak dobrych wyników rada sprawozdanie z eksploatacyi gazowni miejskiej zatwierdziła.

Następnie dr. Marjański przedstawił wniosek komisyi teatralnej w kwestyi, czy nowy teatr lwowski ma być wydzierżawiony, czy też rada miejska sama ma nim zarządzać. Komisya na podstawie danych, dostarczonych jej przez kilka miast z Austryi: Czerniowiec, Krakowa, Berna, Gracu i t. p. doszła do przekonania, iż lepiej będzie teatr wydzierżawić, a to dlatego, iż najpierw wszystkie miasta, nawet bogatsze od Lwowa, wydzierżawiają swoje teatry, a jedyne Berno które samo nim zarządza, ma od r. 1882 coroczny deficyt ze swej sceny, a powtóre: pod względem artystycznym lepiej jest dla teatru, gdy go prowadzi jeden człowiek, posiadający pełnię władzy, niż dyrektor, który jest jedynie pełnomocnikiem jakiejś liczniejszej, wielogłowej i ciężkiej komisyi, a znowu ta komisya jest pełnomocnikiem jeszcze liczniejszej i cięższej rady miejskiej.

Referent przypomniał też, że fundacya Skarbkowska, która teatr lwowski utrzymywała od roku 1842 zawsze miała z tego tytułu niedobory, a największe wówczas, gdy sama sceną zarządzała.

Wszczęła się dłuższa dyskusya nad tym wnioskiem komisyi. Bronili go pp.: Gubrynowicz, dr. Dulęba, dr. Byk, Jonasz i Thullie, a przeciwnicy, nie mogąc przytoczyć żadnych poważnych argumentów na fakt, iż doświadczenie innych miast, czynione od wielu lat, nakazuje i Lwowowi raczej wydzierżawić teatr, niż rządzić nim w własnej administracyi, walczyli jedynie pod tym hasłem, iż należy jeszcze więcej danych statystycznych zebrać i dane te jeszcze lepiej rozpatrzeć. Byli przekonani, że takie lepsze — ich zdaniem — rozpatrzenie sprawy z pewnością wykaże, że i pod finansowym i pod artystycznym względem lepiej będzie dla miasta, gdy samo będzie swoją sceną rządziło.

P. Walichiewicz nawet zażądał, aby sprawę tę rozważać na tajnych posiedzeniach rady, aby się wszyscy dostatecznie mogli „wygadać" i mówić o wszystkich szczegółach teatru bez względu na osoby, ale temu się jak najstanowczej sprzeciwił p. Thullie, wywodząc słusznie, że ogół lwowski ma prawo wiedzieć, dlaczego i na jakich podstawach rada doszła do tego a nie innego postanowienia.

P. Rawski domagał się zwołania ankiety ekspertów teatralnych, aby wydali opinię o różnych szczegółowych kwestyach administracyi teatrem, a dopiero potem będzie można zważyć, która zasada jest lepszą dla miasta: własny zarząd czy dzierżawa.

P. Ihnatowicz położył nacisk na misyę wychowawczą, jaką w małym procencie posiada teatr niewątpliwie i żądał, aby miasto, chociażby to je miało nieco kosztować, nie wypuszczało z ręki zupełnej ingerencyi na teatr.

Dr. Szpilman zwrócił uwagę na to, że gdyby teatr stał pod zarządem miasta, toby płace aktorskie zeszły do jakiegoś normalnego poziomu i nie byłoby tego, co się dziś dzieje, a mianowicie, że jedni artyści mają nadmierne dochody, a inni prawie z głodu giną.

P. Pawlewski oświadczył, że dane przedstawione przez komisyę są zanadto szczupłe i nie można jeszcze sobie z ich pomocą wyrobić zdania, czy miasto będzie zyskiwało, czy traciło na dzierżawie, albo na własnym zarządzie teatrem.

Przemawiali jeszcze za gruntowniejszem zbadaniem sprawy pp: Drexler i Riedl, poczem na wniosek p. Rawera odroczono dyskusyę do następnego posiedzenia.

Socyalizm w Galicyi.

Krakowski korospondent *Dziennika Poznańskiego* piszący pod znakiem (*M*) począł ogłaszać szereg artykułów o socyalizmie w Galicyi, które jako wynik dłuższego śledzenia tej niezwykle ważnej dla nas sprawy, zasługują na uwagę.

W pierwszym artykule pisze:

Nasz „socyalizm" od półrocza, to jest od czasu stanu wyjątkowego, rozwija ruch

---

SZCZĘŚCIE LUDZKIE.

„Kochany mój Kaziu, przybywaj prędko, bardzoś mi potrzebny. Wymyśl taki powód przyjazdu, żeby wizyta twoja nie zadziwiła mojej żony.

Twój Stach."

— A do licha! Ręczę, że pojedynek i to o coś błahego. Ten Stach jest często śmiesznie drażliwy.

Otwieram drugi list. Drobno zapisany wonny bilecik — szukam naprzód podpisu: Jadwiga Bełska! żona Stacha! Cóż to jest? Co się tam dzieje?

„Jesteś pan naszym przyjacielem; muszę się z panem widzieć koniecznie. Niech się pan tak urządzi, żeby przyjazd pana nie zadziwił kochanego mojego Stacha. Dziękuję zawczasu.

Jadwiga Bełska."

— Nie, zupełnie nic nie pojmuję, ale nie mogę się wahać. To też skoczyć do biura, poprosić o urlop, zapiąć walizkę, wsiąść do wagonu, wszystko to poszło jednym tchem.

Stacha kochałem jak brata Kolegowaliśmy w gimnazyum. Biliśmy się nieraz, ale i kochaliśmy się szczerze. On nie nawidził matematyki — wszystkie zadania odrabiałem za niego. Ja znowu nie miałem najmniejszego daru go języków, więc łacina i greka spoczywały znowu na jego głowie.

Wszystko nam było wspólne: gruszki suszone, które mu przysyłała ciotka i konfitury z poziomek od mojej kochanej babuni. Wszystkiem dzieliliśmy się. Koledzy nazywali nas braćmi sjamskimi. Razem zdobyliśmy dyplom nauczycielski i rozłączając się przysięgliśmy sobie dozgonną przyjaźń.

Los rzucił nas daleko od siebie. Stach tracił matkę przyszedłszy na świat — ojciec, złoty człowiek, umarł zrujnowany, a mojego ośmnastoletniego przyjaciela stryj, umierający w Tyflisie, powołał do siebie i otoczył ojcowską opieką.

Ja w życiu nie spotkałem żadnych nadzwyczajności. Uzyskałem miejsce na kolei wiedeńskiej i byłem na najlepszej drodze do awansu.

Stryj Stacha umarł w roku 1882, robiąc bratanka jedynym spadkobiercą. Rok poprzednio ożenił go z ubogą sierotą, młodą i śliczną, którą Stach ukochał całem sercem. Mają już czworo dzieci, najstarsze liczy lat sześć, a najmłodsze tyleż miesięcy.

Ponieważ gorący klimat Tyflisu dzieciom nie służy, kupili pod Kielcami śliczną willę i stale w niej zamieszkali. Szczęście moich przyjaciół było tak zupełne, tak się rozumieli i zgadzali we wszystkiem, że często patrząc na nich pragnąłem, ażeby moje życie było kiedyś do ich życia podobne. I są ludzie, myślałem w duszy, którzy mówią, że szczęścia nie ma na świecie. Co za niedorzeczność! Powinni poznać rodzinę Bełskich.

Młodzi, piękni, bogaci, uwielbiają się i radują widokiem swoich czworga jasnowłosych aniołków.... czegóż im jeszcze potrzeba? Cóż za widmo staje teraz na ich drodze?....

Przeraźliwy świst pary rozległ się w powietrzu i wyrwał mnie z zadumy. W godzinę później, zamykałem za sobą furtkę ich willi...

— Ty-y! — wykrzyknął przeciągle Stach.

— Pan! — zawołała jego żona. — Jaka miła niespodzianka.

— Tylko proszę was, nie mówcie mi podobnych rzeczy. Nie miałem poprostu czasu uprzedzić was o mojem przybyciu, bo dopiero dzisiaj rano dostałem rozkaz załatwienia jakiegoś interesu na kolei Dąbrowskiej. Proszę was o gościnność.

Po przywitaniu rodziców, nastąpiło przywitanie dziatwy

Na pierwszy rzut oka nic nie mogłem odgadnąć. Stach troszeczkę zeszczuplał, ale Jadwiga była wesoła i uśmiechnięta, jak zazwyczaj. Uściskiem ręki jednak każde z nich starało się przemówić do mnie i odczuwałem trwogę, która ich skrycie pożerała.

— Zanim podadzą nam obiad pokażę ci ogród.

Jak tylko weszliśmy w zarośla, Stach gorączkowo chwycił mnie za ręce i rzekł:

— Dziękuję ci, stary przyjacielu, że pośpieszyłeś na moje wezwanie. Jestem bardzo nieszczęśliwy i potrzebuję twojej rady.

— Co się stało?

— A widzisz, wuj zostawił mi majątek — ale w tym spadku odziedziczyłem też kilka procesów. Moi przeciwnicy wygrywają. Za pół roku wszystko się kończy, nie zostanie mi nic! Nędza! Smiałbym się z niej, gdybym był sam na świecie, ale (głos mu zadrzał) o nich się niepokoję. Jadwiga nie domyśla się niczego. I tak zawcześnie się dowie o wszystkiem. Wyrób mi jakie miejsce, niech będzie jakie chce, bylem miał chleb dla moich. Jadwiga zgodzi się na najskromniejszą nawet posadę. Ja nie śmiem jej mówić o ruinie, nie mając zapewnionego jutra.

Stałem oniemiały z przerażenia, a Stach mówił dalej.

Jestem młody i silny, mam i będę miał odwagę pracować. Odzwyczaiłem się już trochę, to prawda, ale wciągnę się znowu. Mogę liczyć na ciebie?

— Jak na samego siebie.

— Dziękuję ci i proszę ani słowa o tem przed żoną... Zostało jeszcze sześć miesięcy szczęścia, nie zakłócajmy go.

Sześć miesięcy szczęścia!? i to coś znaczy. Ale jakaż rana krwawi serce biednej Jadwigi?

Wieczorem pani Bełska, podając herbatę, pochyliła się trochę ku mnie i szepnęła tak cicho, że prędzej odgadłem, niż dosłyszałem jej słowa:

— Muszę z panem pomówić jutro o siódmej... w ogrodzie.

Skinąłem głową na znak, że zrozumiałem, a w oczach tej kobiety tyle było odbicia strasznej boleści, że dreszcz mnie przeszedł.

Spałem mało i źle. O szóstej zeszedłem do ogrodu. Ptaki się budziły i rozpoczynały swój spiew poranny. Słońce osuszało kwiaty, rosą zwilżone. Mgła unosiła się zwolna i widziałem tam w dali budzące się życie...

— Bardzo tu pięknie! — szepnąłem z zachwytem.

— O tak, bardzo pięknie — odezwał się cichy głos przy mnie, — ale żeby się módz tem zachwycać, trzeba być szczęśliwym — mówiła pani Bełska, a wyciągając do mnie rękę, dodała: — Dziękuję za pośpiech, z jakim pan przybyłeś.

— Co panią skłoniło do wezwanie mnie? — spytałem.

— Co mnie skłoniło? to, że dni Stacha policzone.

— Stacha dni policzone!? albo ta kobieta zwaryowała, albo też ja waryuję.

— Co?

Biedna łkała cicho, nie mogąc wymówić słowa, opanowała jednak wkrótce wzruszenie i pewniejszym głosem rzekła:

— Kilka miesięcy temu, jeszcze przeszłej zimy, Stach się zaziębił, polując na kaczki. Kaszlał aż do maja, potem to minęło. Od trzech tygodni ten brzydki kaszel powraca, z rana najczęściej tylko, ale na jego bladej zawsze twarzy pojawiają się plamy czerwone. Żeby nie budzić w nim niepokoju, zaprosiłam na lato przyjaciela naszego, starego lekarza; powiedział, mi że Stach umrze. Zniszczenie w jego płucach tak spokojnie postępowało, że tego zupełnie nie spostrzegliśmy. Możnaby mu przedłużyć życie, gdyby mógł opuścić te strony, bo tu powietrze za ostre dla niego ale jak go nakłonić do tego? Prawdę trzeba przed nim ukrywać starannie, bo gdyby wiedział, co mu grozi, gotów w chwili rozpaczy odebrać sobie życie. Musi mi pan pomódz w oszukiwaniu go, musi go pan namówić na jaką podróż, nakłonić do opuszczenia tego ukochanego zacisza, gdzie żyliśmy tacy szczęśliwi. On musi ztąd wyjechać. Gdybyśmy mogli utrzymać go w tej nieświadomości przez te sześć miesięcy, które mu zostają do życia, byłoby to pół roku szczęścia.

Nie mogłem się zdobyć na odpowiedź. Byłem zdrętwiały. Pół roku szczęścia! za pół roku nędza i śmierć! W chwilę później krótki, suchy kaszel odezwał się za nami, wzdrygnęliśmy się, słysząc go. Staraliśmy się przywołać uśmiech na usta i powitaliśmy Stacha.

— Cóż tak spiskujecie? — zawołał wesoło.

— Przeciwko twemu spokojowi — odrzekłem. — Twoja żona spowiada mi się z podróży, od której chciałbym ją odwieźć.

— To niesłusznie, bo moja żona rzadko miewa życzenia.

— Opowiem ci to zresztą przy śniadaniu, a tymczasem muszę iść przejrzeć i poprawić rachunki.

Oddaliłem się pośpiesznie, aby ukryć łzy cisnące mi się do oczu. Idąc, słyszałem przechodniów koło ich willi mówiących:

— Ci Bełscy to dopiero szczęśliwi ludzie!

S.

niepospolity, organizuje się gorączkowo, rozsnuwa swe pajęcze sieci z mniejszem lub większem powodzeniem na wszystkie prawie sfery społeczne i po całym kraju. Dawno już nie ujawniło centralne kierownictwo takiej rozmaitości agitacyjnej, takiej zuchwałej odwagi i przedsiębiorczości w zdobywaniu nowych terenów akcyi, jak w ostatnich miesiącach. Ma ono — to kierownictwo — doskonałą taktykę: dużo hałasować, głośno bardzo i po ulicznikowsku wymyślać na kler, na rząd, na szlachtę, na sytą burżoazyą — a tymczasem — gdy przeciwnicy, ogłuszeni rozgwarem słów, bądź milczą, bądź brną w gorącą dyspntę — tymczasem po cichu obu dłońmi pracować.

Praca agitacyjna odbywa się za pomocą pism, broszur, zgromadzeń, odczytów, zabaw przedstawień. Do niedawna było pismo *Naprzód* organem głównym. Dziś mamy obok *Naprzodu*, jako tygodnika, także *Równość*, wydawaną w Cieszynie trzy razy na miesiąc, *Robotnika*, wydawanego dwa razy miesięcznie we Lwowie, oraz *Krytykę*, miesięcznik społeczno-literacki, wychodzący w Krakowie. Zatem cztery pisma socyalistyczne w Galicyi. Jeżeli do nich dodamy co najmniej dwadzieścia tomików broszur, nowel, poezyi, pamfletów, polemicznych świstków, wydanych w ostatnim półroczu, a rozrzucanych tanio i w wielkiej liczbie po kraju — to możemy ocenić w przybliżeniu żwawość agitacyi za pomocą słowa pisanego. Inną formą jej są zgromadzenia — trojakiego rodzaju: Ogłasza się *urbi et orbi* krwawemi plakatami, że towarzysz Daszyński będzie mówił. I Daszyński pieni się i pluje przez dwie godziny na cały świat „posiadający“ napinając aż do pęknięcia niemal strunę pobłażliwości komisarza policyjnego, a potem wszystkie pisma zdają sprawę z tych wymyślań. To wstęp uroczysty, manifestya polityczna, ale są zgromadzenia pro foro interno, rodzaj seansów towarzyskich: te odbywają się co tydzień stale, wszędzie, po różnych kątach Galicyi i Krakowskiego, czasem bez odczytów, ale najczęściej z odczytami, często z zabawą i tańcami, po lokalach „Sił“ „Brüderlichkeit“ stowarzyszeń zawodowych itp. W tych wilgotnych, pełnych dymu tytoniowego, mdło oświetlonych pokoikach padają gromy z ust mniejszych menerów, tam to odbywa się praca nie efektowna, ale groźna, bo ciągła i wytrwała. A są też zgromadzenia polemiczne, na których występuje socyalizm *militans* z innemi partyami — i te dotąd może najmniej niebezpieczne.

Nie od rzeczy będzie tu powiedzieć, że procesy stanowią również środek agitacyjny. Dla czego w licznych procesach Stojałowskiego tak skwapliwy udział bierze Daszyński? Dla czego ks. Stojałowski boi się go formalnie i trzęsie się ze złości wobec jego insynuacyi i obelg? Związani niegdyś sojuszem interesu, posiadłszy wiele obopólnych tajemnic, ambo meliores na punkcie skrupułów — nienawidzą się wściekle i jeden radby ćwiartować drugiego—gdyż obaj pożądliwą łapę wyciągają w kierunku ludu wiejskiego. Daszyński łaknie klienteli ludowej, a zatem z kolei dmie w surmę religijną, patryotyczną, humanitarną, zdzierając coram populo z księdza Stojałowskiego szatę uczciwości politycznej, religijności i patryotyzmu. Niejeden z adherentów cofnie się, a kto wie, czy nie przymknie do *Naprzodu*? Przytem — oto właśnie pora otoczyć socyalizm pewną aureolą, uczynić go — że tak powiem — swojskim dla młodzieży, która nie lubi haseł antinarodowychh. Ach — ileż to umizgów i kokieteryi, ile prośby i groźby kieruje się w stronę młodzieży! Krakowska *Młodość*, miesięcznik jawnie socyalistyczny, samozwańczo przyswoiwszy sobie tytuł „organ młodzieży“ popiera te knucia hersztą naszych socyalistów. We Lwowie utworzył się t. z. uniwersytet ludowy, który podobnież współdziała z socyalistami. Miewa on tygodniowo 700 słuchaczy, w tem 400 robotników i robotnic.

Akcya przejdzie wnet na prowincyę i zorganizuje się w „Siłach“ przelewając oczywiście tendencyjną wiedzę na lud i mieszczaństwo małomiasteczkowe. Osacza się zatem lud zwolna, ostrożnie i po cichu, ale ciągle. Jednakże kierownikom nie wystarcza, ogarnęli w kraju kasy chorych, nie wystarcza, że opanowali we Lwowie miejskie biuro stręczeń pracy, nie wystarcza, że rozsypali po miastach całą sieć stowarzyszeń zawodowych, że wydają cztery pisma, inspirują dwa pisma młodzieży *Młodość* i *Promień*, że bez tchu drukują masę ulotnych pisemek, że w kręgi agitacyi biorą lud wiejski: oto coraz śmielej zwraca się socyalizm nasz w stronę wojska. Nowelka „Pierwszy maja w wojsku“ artykulik „Precz z militaryzmem“ i odpowiedni obraz, przedstawiający nagą dziewkę, broniącą ludu przed nagim skrzydlatym chłopem z kosą — to już zakusy rozgałęzienia agitacyi. Cóż wobec tak forsownej pracy czcza manifestacya pierwszego maja?

Wyrachowano niedawno, że *Naprzód* zebrał w przeciagu lat paru centowemi składkami trzydzieści z górą tysięcy zł. Ja sądzę, że gdyby kto inny — nie socyaliści — chciał tak czynnie, wszechstronnie, obficie siać, jak oni sieją, to potrzebowałby dziesięć razy większych środków. Wygrali świeżo w pierwszej instancyi proces o spadek po Czerneku, który im zapewnił 30.000 zł. zbierają centy, ale prócz tego agitują wszelkimi środkami, na jaki spryt ludzki zdobyć się może posiłkuje ich żyd, posiłkuje bezwiednie konserwatysta, posiłkuje często urzędnik, tylko oni myślą wciąż o **własnym** interesie, nie dbając o innych, o ile mi nie służą lub nie szkodzą. W takiej gromadnej organizacyi, funkcyonującej wciąż, bez wytchnienia, w jednym celu — leży żywiołowa siła i trzeba nie wiem jakiego oporu, aby jej pęd osłabił lub niweczył. A tymczasem — jakiż jest opór?
